Nr. 3 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 lutego 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					▌15	■	■	15▌				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

TREŚĆ NUMERU 3:

Nr. 3 We Lwowie, 1 lutego 1930 Rok 52

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO



EDWARD MÜNTER

CZŁONEK WYDZIAŁU MAŁOP. TOW. ŁOW.

zmarł dnia 28 stycznia 1930 w 74 roku życia.

Ciężko przychodzi mi wziąć pióro do ręki, by staremu, wypróbowanemu przyjacielowi, koledze myśliwemu od lat wczesnej młodości, rzucić na papier słów kilka pożegnania na zawsze.

Łatwo zato zcharakteryzować postać tę kochaną, jako człowieka, towarzysza i myśliwego, była ona bowiem natury nieskomplikowanej, a prostota, szczerość i pogoda ducha złożyły się tutaj w całość niesłychanie sympatyczną i ujmującą wszystkie serca.

Jako człowiek, kryształ, jako towarzysz, promień wiecznie pogodnego słońca, jako myśliwy, mistrz, znawca łowiectwa i doskonały strzelec.

Należał on do tych, co obecnością swoją umieją rozweselać, spędzać smutek z każdego czoła, wywoływać wesoły nastrój w każdem zebraniu. W źrenicach jego tliły refleksy zawsze uśmiechniętego błękitu, był uosobieniem pogody i pogodę niósł wszędzie ze sobą.

Długą i ciężką złożony chorobą nie przestał być myśliwym do ostatnich dni życia. Pasja myśliwska nie przygasała u Niego z wiekiem, lecz w coraz większą rosła potęgę. Młody do końca życia nerw myśliwski i bogatą przeszłość myśliwską wyzyskiwał Jego znakomity talent narratorski do odtwarzania przed słuchaczami obrazów, wspomnień i przeżyć, które, szkoda, że nie spisane, z Nim razem idą do grobu.

Żegnam Cię Kochany Druhu! Żegnam Cię imieniem Wydziału M. T. Ł., któremu służyłeś przez dwadzieścia siedm lat radą i pracą, żegnam Cię imieniem towarzyszy, Towarzyszu Ty niezrównany. Niech nad Twą mogiłą cmentarne szumią drzewa, owiane lecącą hen z południa wieczystą baśnią Karpackich praborów, z których czerpałeś do ostatnich chwil życia tęczowe wspomnienia i żywe w Swej duszy wyświetlałeś obrazy!

Śnij wiecznie tą baśnią ukochany Towarzyszu! *A. M.*

Od Administracji

Minist. Poczt i telegraf., rozp. z dnia 28 XI. 1929 r. Dz. ust. R. P. z dnia 9 XII. 1929, Nr. 83, zarządziło z dniem 1-go stycznia 1930 r. zmiany przy wysyłce czasopism:

Czasopisma i wydawnictwa perj. zostały dopuszczone z dniem 1 stycznia 1930, do prenumeraty w Urzędach poczt. i będą odtąd przez pocztę prenumeratorom doręczane.

Czasopisma i wydawnictwa perj. prenumerowane wprost u PP. Wydawców, będą przekazywane na podstawie zawiadomień redakcyjnych i kart prenumeraty Urzędom poczt. oddawczym, do doręczania prenumeratorom.

Zmiana ta wykazała już przy pierwszej wysyłce Łowca 1/1930 pewne niedomagania spowodowane niedokładnymi adresami odbiorców.

Ażeby umożliwić członkom i prenumeratorom, regularne otrzymywanie „Łowca", Administracja stara się usuwać wszelkie niedokładności i w tym celu zwraca się do P. T. członków i prenumeratorów, o bezzwłoczne zawiadamianie Administracji w razie zmiany miejsca zamieszkania lub zmiany odbiorczego Urzędu poczt., gdyż mnożące się z tego powodu reklamacje, nie będą mogły być uwzględniane.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio - środkowa Afryka)

III

Kozioł wodny — kozioł trzcinowy (trzcinnik)

Kozioł — i — wodny — !... Czyż może być bardziej nieodpowiednie miano dla dużej i wybitnie pięknej antylopy, wiodącej swój żywot przeważnie na suchym, a często na skalistym terenie? Niefortunna nazwa może uprzedzić źle człowieka do człowieka, może też niekorzystnie uprzedzić myśliwego do zwierzyny, której jeszcze nie widział, a z którą może się spotkać w przyszłości.

To samo było przed laty na terenie afrykańskim — z kozłem wodnym. Nazwa ta zabiła go (moralnie) w opinji myśliwych Europejczyków. Ze skąpych ich sprawozdań, czy to ustnych, czy też drukowanych — sądząc, nie poświęcili oni nigdy szczególniejszej uwagi temu zwierzęciu, co więcej — wszelkie o nim wzmiaki były ujemne. W czasach, gdy w pewnych okolicach wschodniej i południowo-wschodniej Afryki liczba tych stworzeń szła w setki i tysiące, uważano kozła wodnego jako chwast między zwierzyną łowną, jako „quantité negligeable" — niewartą strzału dla szanującego się sportsmena.

To pogardliwe odnoszenie się do tej mało płochliwej antylopy — uratowało ją może od zdziesiątkowania, jak to miało miejsce z innemi gatunkami; ratowało ją zwłaszcza w południowej Afryce, gdzie Burowie dla skór i mięsa — wszelką inną zwierzynę tępili bezlitośnie. Skóry nie nadawały się na pewnego rodzaju dywany, jakie tam wówczas ze skór antylop sporządzano, mięso było marne i jedzono je tylko w ostateczności, a z rogów również nie wiele pożytku, bo zbyt były pospolite, i nie miały ceny na giełdzie osobliwości afrykańskich.

Zostawiono ją zatem w spokoju.

Z taką opinją o koźle wodnym szli później i inni łowcy-sportsmeni do Afryki środkowej. Znalazłszy go tam we wielkiej liczbie, ponadto nie natrafiając na zbytnie trudności, aby zaraz na wstępie ubić kilka, lub kilkanaście sztuk, nie zwracali już więcej uwagi na tę „podłą" zwierzynę. Nawet „kapitalne" poroża nie nęciły „rekordzistów", bo w każdem niemal stadzie znalazł się kapitalny byk, nie mówiąc już o stadach samych byków, które w czasie koncentracji na obszernych równinach — oddzielnie chodziły, i wśród których można było sobie wybrać sztukę — wprost rekordową.

Nie zdawano sobie wówczas sprawy z tego, że okolice, gdzie ta antylopa tak rojnie żyła, były naonczas niemal bezludne, że nikt przedtem na nią z bronią palną nie polował, a że z natury była flegmatyczna i niepodejrzliwa, więc łatwych spotkań z nią było więcej, aniżeli z innemi, bardziej czujnemi gatunkami. Zamało dawała emocji — no — i korzyści.

Czasy te jednak minęły bezpowrotnie.

Dziś stan tej zwierzyny przerzedził się poważnie. Co oszczędzili ludzie — zmiotła zaraza. Wyginęła właśnie w tych stronach, gdzie jej było najwięcej: wyginęła na zarazę bydlęcą wraz z bawołami i innemi antylopami, lubiącemi skupiać się w ogromne stada w czasie największej posuchy, po pożarach stepów.

Nad doliną Zambezą, Szirą i nad południowemi brzegami jeziora Njassa — zwą Kafrzy tę antylopę „Niakozwe". Jej nazwa naukowa: Cobus ellipsiprymnus, po angielsku Waterbuck, i żywcem stąd przetłumaczone na polskie — Kozioł wodny.

Kozioł? — gdzież tu szukać cech kozła, jeśli o kształty zewnętrzne chodzi — skoro ta antylopa ma formy wybitnie jelenie, a co do swej wielkości — dorównuje naszemu jeleniowi nizinnemu? A co określa — wodny? Wszak ona nawet do kąpieli do wody nie idzie, i tyle ma z nią wspólnego, że nad jej brzegami żeruje, i tam swe pragnienie gasi — jak zresztą cała falanga innych antylop.

Pierwsi ochrzcili ją tak Burowie, a za nimi poszli Anglicy i inne narody, nie wyłączając Polaków. Czyż nie byłoby lepiej nazwać ją antylopą-jeleniem? Przynajmniej jabym ją tak nazwał, chociażby dlatego, aby ją zrehabilitować w oczach tych, którzy jeszcze w przyszłości w Afryce polować będą i mogliby — z fałszywych przesłanek wnioskując — pominąć sposobności zapolowania na tę wspaniałą zwierzynę. Chciałbym również za-

chęcić ich do pilniejszej obserwacji tego zwierzęcia, o którem wiemy dotychczas bardzo mało i aby stwierdzili, jako myśliwi, niepoślednią jej wartość, jako zwierzyny łownej.

Niestety — i piszący te słowa — był długi czas pod wpływem uprzedzenia co do tej antylopy. Jakkolwiek bowiem w czasie długiego swego pobytu w Afryce — ciągle ją mając na oczach, mógł wiele z jej życia podpatrzeć, to jakby zrażony złą o niej opinją — mało na nią zwracał uwagi, stąd też mało szczegółów o niej może dziś podać czytelnikowi.



Kozioł wodny — byk

Kozioł wodny — jak już wspomniałem — jest wielkości jelenia nizinnego, tylko więcej przysadkowaty i na krótszych nogach; posiada jednak szlachetne kształty jelenie, czem się szczególnie wyróżnia z pośród innych antylop, mających, albo bardziej rozwinięty przód ciała a tył słabszy — i wyglądających garbato, albo przeciwną budowę — i noszących się pochyło.

Ów Cobus nosi się wspaniale. Szczególnie stare byki, uzbrojone w potężne rogi, dają wrażliwemu na piękność oku — bardzo estetyczny widok.

Warto takiego byka obserwować, gdy żeruje. Podnosi od czasu do czasu głowę ponad trawiska i przechylając rogi wtył ku karkowi, spogląda spokojnie wdal — dumny i jakoby obojętny, co się dokoła niego dzieje. Czasem zapatrzy się w jakiś punkt i stoi tak nieruchomie długą chwilę. Jeśli się zastanawia wtenczas nad tem, co mu niesie wiatr w podniesione jego nozdrza, lub co się jakimś przelotnym obrazem odbiło na siatkówce jego oka, to czyni to jak wielki pan, co nie okazuje zaraz i byle komu swoich wrażeń. Nie znać w poruszeniach jego nerwowości, nawet, gdy jest czemś niezwykłem zaskoczony. Skończony flegmatyk.

Zwietrzywszy niebezpieczeństwo, wynosi się najpowolniejszym truchcikiem, nie zaniedbawszy tu i tam przystanąć, aby sprawdzić, kto go śmie niepokoić.

Szata tej antylopy jest brunatno-szara o włosie szorstkim, gęściejszym i dłuższym na szyi i karku, z jaśniejszem podbrzuszem. Tuż pod ogonem ma na tylnych pośladkach dwie białe plamy w formie półksiężyców, rogami do siebie zwróconych, szczegół, który z pewnej odległości talerz jeleni przypomina. Ogon, jak u naszego bydła, tylko krótszy i ze skąpą kiścią. Cielęta są brunatne.



Kozioł wodny — łania

Tylko samiec posiada rogi. Z przodu widziane, są one kształtu niezupełnej liry, lekko wtył wygięte i gęsto pokarbowane (do trzech czwartych swej długości), kończyny zaś gładkie i ku przodowi zwrócone.

W rozpiętości rogów, tudzież w ich wygięciu, spotyka się na znaczne odchylenia, jak zresztą i u innych przeżuwaczy.

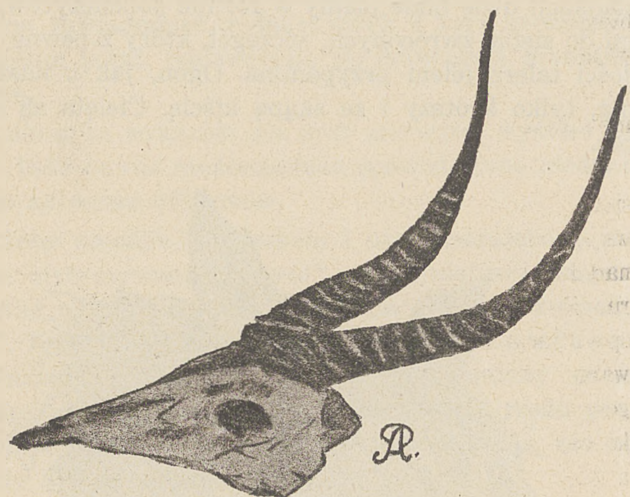
Dla lepszego oznaczenia wielkości samego zwierzęcia i jego rogów, podaję tu pomiary dwóch, w jednym dniu ubitych przezemnie starych byków.

Jeden większy, mierzył od czoła po nasadę ogona 6 stóp ang., wysokość w łopatce 3 stopy i 11 cali.

Rogi: od podstawy do końców 2 stopy 4½ cal. długość (wzdłuż krzywizny) 2 st. 7½ cal., rozwartość między końcami 2 st. 1½ cal. Karbów na rogach 28.

Drugi, trochę mniejszy, posiadał rogi o wysokości 1 st. 10½ cal., długie 2 st. 1½ cal, a rozwarte na 1 st. 2 cal. Karbów 26. A nie były to okazy nadzwyczajne, ale przeciętnej wielkości byki, jakie się prawie w każdem stadku spotyka. Bardzo stare byki posiadają nieraz rogi długości 3 st., a nawet z nadwyżką.

„Niakozwe“, (Cobus ellipsiprymnus) reprezentujący dość liczną rodzinę Cobusów, zamieszkuje równikową, oraz południowo-wschodnią Afrykę. Nad dolną Zambezą i w dorzeczu Sziry był on jeszcze przed laty czterdziestu bardzo liczny. Jest on zwierzęciem otwartych lub słabo zadrzewionych równin, o ile są dobrze nawodnione, przedewszystkiem okolic nadrzecznych, o terenach inundacyjnych, gdzie nawet w najsuchsze lata znaleźć może zieloną paszę, nieodzowny warunek jego bytowania. Tą paszą jest mięsista, bujna trawa, przez Kafrów „mabande“ zwana, rosnąca nietylko po brzegach błotnistych



Rogi kozła wodnego (byka) widziane z boku

wód, ale także w dołkach takiego terenu, zalewanego podczas wysokiego stanu rzek — na mulistym, tłustym osadzie i zachowująca swą żywotność nawet wtedy, gdy wody w tych zagłębieniach powysychały. Żywiąc się prawie wyłącznie tą paszą, nie oddala się nigdy daleko od owych żerowisk, a więc i wody. Stało się to prawie wskaźnikiem dla spragnionego łowcy, że wodę znajdzie tam, gdzie natknął na kozła wodnego, lub przynajmniej jego świeży trop odnalazł. Nie dowodzi to jednak, żeby to zwierzę specjalne do brodzenia we wodzie miało upodobanie, do której wchodzi w ostatniej potrzebie, np. gonione przez dzikie zwierzęta lub ludzi. Natomiast stwierdzonem jest, że przenosi grunt suchy od mokradeł, a nawet dobrze się czuje w górach na które wspina się do znacznej wysokości, ale tylko na najbliższe od żerowisk stoki. W głębi gór niema go zupełnie, jak również w gęstych lasach.

Mięso jego nie jest tak złem, jakby o tem z tego, co się czyta, sądzić wypadało. Oczywista nie należy tu brać w rachubę starych byków, do tego strzelanych w czasie rui. Mięso z takich sztuk, a zazwyczaj strzela się najstarsze, jest rzeczywiście łykowate i czuć je „kozłem“. Natomiast łanie i młode dają mięso dobre, bardzo podobne do mięsa z naszych jałówek, a odpowiednio przyrządzone, jest nawet wyborne. Należy jednak uważać — jak przy mięsie bawolem — czy nie jest wągrowate, co często się zdarza, zwłaszcza u zwierząt żyjących na wielkich równinach, gdzie zaspakajają pragnienie we wstrętnych bajorach, pełnych odchodów różnych zwierząt, a więc zarażonych. Co do mnie, to znachodziłem mięso kozła wodnego o wiele smaczniejszem od bawolego, które czuć mocno stajnią, a często-gęsto jest nie do pogryzienia. I jelenina ze starych byków, strzelanych w czasie rykowiska, nie jest daniem pierwszej jakości, ale żeby mięso naszych jeleni było złe, tego powiedzieć nie można, a dobry kucharz potrafi zeń zrobić wytworne danie. To samo da się powiedzieć o mięsie z „Niakozwe“.

Nigdy nie zapomnę momentu z wizyty u nas w Szamu (nad Szirą) znakomitego podróżnika i naturalisty p. H. H. Johnstona, gdy zapraszając go na obiad, zapowiedziałem pieczeń z kozła wodnego. Zrobił na to minę tak kwaśną, że musiałem zrozumieć, iż go tą potrawą wcale nie uraczę. Dopiero w czasie obiadu, gdy ją zaczął ostrożnie kosztować, zawołał zdumiony: it is though a royal dish!...*)

To też ten podróżnik w dziele swojem „British-Central-Africa“, pisząc później o tem zwierzęciu, dodaje: jakkolwiek Europejczycy nie znoszą mięsa kozła wodnego, stwierdzić muszę, że mięso samic i młodych byczków, jeśli dobrze przyprawione, jest wcale smaczne.

Była to pierwsza sympatyczniejsza wzmianka o tem zwierzęciu, z jaką się spotkałem w książce, jakkolwiek jedynie z gastronomicznego punktu widzenia.

Drugą krótką, ale dodatnią wzmiankę — tym razem z punktu widzenia estetyki i wartości łowieckiej — znalazłem później w książce Stolcmana „Nad Nilem niebieskim“, który nazywa ubitą tam odmianę kozła wodnego (Cobus defassa) wspaniałą antylopą. A przecież odmiana ta, w porównaniu z właściwym kozłem wodnym (Cobus ellipsiprymnus) z powodu swego wyglądu, pozostać musi wtyle.

(C. d. n.)



W trawach

*) To jest przecież królewskie danie...

ALBERT MNISZEK

Z podpatrzonych tajemnic

I

Jeleń włóczęga

Stary, walny byk karpacki jest zawodowym włóczęgą, zwłaszcza podczas rykowiska. Zjawia się jak duch w miejscach, w których go nigdy nikt nie widział, rozpędza byki słabsze, zdobywa ich haremy, pokrywa łanie i po jednej dobie, a nawet po kilku nieraz godzinach niknie, aby gdzieś znów w innym o kilka mil odległym rewirze, jak zjawa się okazać. Jestto właściwość obyczajowa jelenia karpackiego, u jeleni nizinnych i zachodnioeuropejskich niespotykana. W czem leży jej przyczyna trudno ustalić, czy powodem jej jest lubieżność samcza i szukanie wciąż nowych wrażeń miłosnych, czy każe mu tak postępować zmysł samozachowawczy? Przypuszczam, że prędzej ten drugi motyw na włóczęgę po karpackich borach go skazuje. Zwierz nie chce się poprostu w jednem miejscu dłużej zatrzymać, aby nie stać się upatrzoną ofiarą myśliwego, kłusownika lub wilków.

I zdaje mi się, że w rewirach dzikich, w pierwotnych puszczach, wszędzie dzieje się to samo. Przed wojną spotykałem się często z jednym z wielkich myśliwych, polującym stale na jelenie w górach Kaukazu i ten potwierdził mi, że tamtejsze stare byki tak samo się wciąż włóczą i nigdzie dłużej na jednem miejscu nie ryczą.

Jeleń więc placowy, stadnik, niemiecki Platzhirsch w dzikim rewirze nie istnieje i dopiero wysoka kultura łowiecka może starego byka na tyle zczasem ucywilizować i umoralnić, by choć na jeden sezon godowy stał się swych żon wiernym małżonkiem.

Słuszność mego twierdzenia potwierdzałby fakt, że w ostatnich latach przed wojną, w Skolszczyźnie, gdzie kultura łowiecka stała bardzo wysoko, stare byki ryczały dłużej stale na tych samych miejscach.

Wielu zapewne myśliwych i znawców obyczajów życiowych naszego króla gór zrobiło to samo spostrzeżenie. Nie jeden z nich natknął się na jakiegoś silnego byka, którego nikt przedtem w rewirze nie widział. I jeżeli spotkania tego nie mógł wyzyskać, drugi raz już się z nim nie spotka w swojem życiu. Słyszy się nieraz, przybywszy na rykowisko, o jakimś fantastycznym byku, włóczącym się po rewirze, jak duch, jak jakaś postać nadprzyrodzona, przechodząca z roku na rok w legendę, niewidzialna dla myśliwego.

W dniu 22. września 1919, wspaniały wieczór, nie jesienny, ale prawdziwie letni, zastał mnie w jednym z najwspanialszych rewirów skolskich, Butywli, siedzącego nad rwącym potokiem u stóp starego jodłowego praboru. Po drugiej stronie jaru miałem kilkusetmorgowy, opadający łagodnym stokiem ku mnie czysty zrąb, wśród którego wprost naprzeciw mnie leżała kilkumorgowa partja starszej, ale gęstej jeszcze kultury świerkowej w formie kwadratu; ściana jej najbliższa mnie, a więc i najniżej leżąca dochodziła do jaru na odległość jakich 200 metrów odemnie. Byłem w towarzystwie rewirowego Kreutzera, Styryjczyka, który jak sobie zapewne Czytelnicy przypomną, uległ w kilka miesięcy później bardzo ciężkiej katastrofie w spotkaniu z niedź-

---

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

UTRACONE SZCZĘŚCIE

(Ciąg dalszy)

Coraz jaśniej robiło się w lesie, słońce wychyliło już swą tarczę, rzuciło pierwsze blaski swych życiodajnych promieni.

I stała się cisza przeogromna, tylko komar brzęczał w powietrzu, on jeden nie uszanował tej najwyższej siły twórczej życia, jaką jest słońce.

A kiedy już cała tarcza słońca ukazała się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ozwał się chór ptaków.

Wśród konarów wysokich sosen kuł dzięcioł, wysoko w chmurach zakwilił jastrząb, upatrując ofiarę na śniadanie, sójki ozwały się w wysokich zagajnikach, lis przemknął przez polanę, niosąc w pysku upolowaną gdzieś kurę.

Z duszą i sercem przepełnionem wdzięcznością, patrzał Michał na tą budzącą się ze snu naturę, dziękował Bogu, że dał mu możność zrozumienia tych cudnych rzeczy, zato, że dał mu możność widzenia tych najpiękniejszych obrazów.

Nie dam — pomyślał Michał, by ci profani, co mają tu dziś przyjechać, mieli stąd uszczknąć tak silnych wrażeń, że sami ich nie zrozumią.

Wnet też z myślą jakąś ukrytą, wjechał w najgęstszy las, chwycił za trąbkę na sznurach wiszącą i z całej siły zatrąbił, raz, drugi, aż wreszcie oszalały i opętany swą myślą trąbił zda się bez końca. Twarz jego stała się czerwoną, aż wreszcie siną, odjął na chwilę ustnik z trąbki od warg, nabrał powietrza w płuca i znowu w ciszę poranku wdarły się przeraźliwe, metaliczne dźwięki.

Po chwili wyjechał z lasu, galopem przerżnął polanę i wpadł znowu w las. I znów odezwały się tony trąbki.

Teraz jak na komendę ze wszystkich stron odezwały się podobne tony, zbliżając się coraz ku polanie.

To gajowi śpieszyli na wezwanie swego zwierzchnika.

Michał, gdy tylko usłyszał odpowiedź gajowych, wyjechał na polanę i oczekiwał przybycia swych podwładnych.

Wnet też ukazały się wysuwające z gąszczów leśnych sylwetki jakichś tworów, półludzi. Zbliżali się wolno, posuwistym krokiem do Michała.

Jeden z nich, śmielszy, tocząc zdziwionym okiem wokół siebie, zwrócił się do Michała:

wiedziem schwytanym w żelazo i oniemal go życiem nie przypłacił.

W kwadracie tym naprzeciw mnie leżącym wrzało jak w garnku. — Cały ten niewielki gąszczyk trząsł się od nieustającego ryku trzech byków, które już to zbliżały się do siebie, już to oddalały, po nim się przechadzając. Ani razu żaden z nich na zrąb się nie wychylił.

Ztyłu, za mną, słońce już zachodziło, kładło się w mgłach wieczornych otulających łańcuchy górskie dzikiej Libohory. Rzuciło jeszcze jakby na dobranoc różową poświatą na zrąb przedemną leżący. Z lewej strony z za jego widzialnej dla mnie przestrzeni dał się słyszeć niespodzianie potężny ryk basowy króla gór. Cisza zapanowała odrazu w gąszczyku. Jeszcze raz dał znać potężny zwierz o sobie i nagle na linji horyzontu okazał się w całej swej wspaniałości. Obrazu tego nie zapomnę nigdy. Stał potężny gór władca w glorji promieni zachodzącego słońca, a wspaniały jego 18-listny nieskalany w linji wieniec hebanowy o białych ostrych końcach odbijał się ostro od tła ciemnego błękitu. — Byka tego, jak mi szepnął zdziwiony Kreutzer, jeszcze tu nikt nie widział. Jeleń spuszczał się powoli, czasem przystając i porykując, na ukos ku mnie, ale wprost w kierunku kwadratu. Z bijącem, jak jeszcze nigdy, sercem i z gotową do strzału bronią, czekałem na możliwość strzału. Gdyby jeleń chciał wejść do gąszczu w dolnej jego części bliżej jaru, miałbym go na całkiem pewny strzał, lecz on wybrał drogę pośrednią, i w najkorzystniejszym dla mnie momencie był odemnie na dobrych 300 metrów. Korciło strzelić, miałem jego sylwetkę tak dobrze w lunecie. Judził mnie do strzału i Kreutzer. Ale uczciwość myśliwska przemogła. Wobec znacznej odległości i zapadającego mroku, nie puściłem niepewnej kuli do szlachetnego zwierza. Byk wszedł do kwadratu, uciszyło się wszystko, a gdy noc okryła gwiaździstym swym płaszczem bór, szliśmy kołysani nadzieją na jutrzejsze spotkanie z rycerzem-przybłędą.

I nie tylko nazajutrz, ale osiem jeszcze razy z rzędu witałem świt w owym roku, siedząc wśród wspomnianego zrębu i osiem razy żegnałem się tam z zachodzącem słońcem. Jelenia tego nikt więcej, ani wtedy, ani też w następnym sezonie tam nie widział. Ubiłem na tym samym zrębie w rok później kapitalnego 16-ka, najlepszego mego jelenia górskiego, ale gdzie jemu do tego cudownego zjawiska!

Z grubym jeleniem karpackim spotkać się nie łatwo. Dzięki swojej ostrożności i jakby szóstemu zmysłowi samoochrony, potrafi on rzeczywiście przez szereg lat być dla myśliwego nieziszczalnem marzeniem!

A dla utrzymania czystej zdrowej rasy w Karpatach, ma to upodobanie byków do włóczęgi, podczas rykowiska, olbrzymi walor. W ten sposób odbywa się drogą naturalną odświeżanie krwi, jeden z najpoważniejszych i najniezbędniejszych atutów hodowli.

Troszczyć się o niego w Karpatach nie potrzeba.

(C. d. n.)



—Panie, co to będzie, dzisiaj polowanie, a my trąbimy od samego rana w lesie, cała zwierzyna rozpierzchnie się, co na to powie dziedzic, gdy nic nie wyjdzie na stanowiska myśliwych?

Michał przez chwilę zadumał się, zadał sobie pytanie, czy może tym ludziom wypowiedzieć swój plan, czy może im odkryć swe najtajniejsze myśli.

Zaraz to wam wyjaśnię — rzekł, wraz zeskoczył z konia i zbliżył się do stojących gajowych.

Czy chcielibyście — zagadnął, by te dęby, wśród których urodziliście się, wśród których wzrośliście, które stały się domem waszym i rodziną, ścięto?

Czy chcielibyście, by ta zwierzyna, przez was wyhodowana, została wystrzelana przez ludzi, którzy jej ani nie hodowali, ani im nigdy bliższą nie była?

A tak ma się dziś stać! Dziś mają przyjechać panowie, którzy przez ubicie zwierzyny chcą osiągnąć prawo sprzedaży lasu.

A cóż stanie się z wami, gdy wytną te dęby, gdy pole waszej pracy zamknie się? Gdzie się podziejecie?

Słuchajcie chłopcy! Trzeba polowanie poprowadzić tak, by ani jeden dzik, lub kozioł nie wyszedł na myśliwych. Całą odpowiedzialność ja biorę na siebie.

Dobre każe — ozwały się głosy wśród gajowych.

I im choć prostym ludziom, przedstawił się widok walących się dębów, w uszach ich zahuczał stuk siekier w te drzewa które i oni kochali.

I oni, prości ludzie, kochali przyrodę, kochali puszczę i oni odczuli całą powagę chwili, całą doniosłość obecnej sytuacji.

Wnet też zaczęli się zbliżać pojedyńczo do Michała i z całą wdzięcznością całowali tę dłoń, dłoń, która broniła puszczę, a przez puszczę — ich samych.

Godzina dziewiąta na zegarze w saloniku Michała wydzwoniła, gdy przed dom zajechała bryczka wioząca myśliwych.

Wnet w drzwiach saloniku ukazał się Różogórski, prowadząc konfidencjonalnie pod ramię głównego bohatera dnia dzisiejszego — posła na sejm.

Dzień dobry panu, panie Lubicz — zagadnął.

Panowie pozwolą, że ich przedstawię. Pan Lubicz, nadleśny moich lasów, — pan poseł Filipkiewicz, mój wielki przyjaciel.

Panie Lubicz, mój przyjaciel jest namiętnym myśliwym. Dwie namiętności uznaje w życiu. Jedna z nich to

JAROSŁAW HUBALEK

Demon puszczy

(Autoryzowany przekład Wład. Karnkowskiego)
(Dokończenie)

Dozorca z nową armatą, siadł na pniaku i zapalił papierosa. Naganka daleko, obstrzał rozległy i czysty, można sobie pozwolić na odpoczynek. Sam leśny go tu postawił, ale dziwnie się jakoś przy tem uśmiechał, jak zresztą zawsze, gdy mówili o polowaniu. Czuł się lekceważonym i dlatego niecierpiał leśnego. Zresztą, mniejsza z tem! Jednym strzałem zjedna sobie uznanie i sławę, niech jeno ryś przyjdzie! Otrząsnął popiół z papierosa i spojrzał przed się... Czy to sen — czy prawda? O dziesięć kroków stał ogromny ryś! Bóg wie jak przyszedł, nie słychać było najmniejszego szmeru... Upuścił papierosa, usta otworzył z podziwu i skamieniał. A rysica istotnie stała przed nim w całej swej krasie. Zdała się gotować do skoku. Krótki ogon drgał nerwowo, uszy położone po sobie, zielono żółte czy utkwione w dozorcę, pełne ognia i mściwej złości. Cienkim śrutem mógłby ją powalić, lecz zdrętwiałe członki odmówiły mu posłuszeństwa.

Zwierz dłużej czekać nie mógł, naganka była tuż. Jednym skokiem przesadził linję i zniknął w splocie gęstego poszycia. W tym momencie dozorca odzyskał władzę wskazującego palca i wystrzał, jak grom, rozległ się po puszczy. Kartaczowy nabój świsnął powietrzem i wyrył dziurę w ziemi o trzy kroki od strzelca. Na odgłos strzału naganiacze odpowiedzieli bezwładnym wrzaskiem i, jak kto mógł, biegli do myśliwego.

Biedak nie zdążył jeszcze wymyślić czegoś na usprawiedliwienie, gdy niespodzianie stanął przed nim leśny i krótko spytał: „Którędy poszła?“ „Tamtędy, ale postrzelona!“ Skłamał niedoszły Tell. Leśny zbadał ślady, nastrzał, wzruszył ramionami i kiwnąwszy na gajowych bez słowa opuścił dozorcę i naganiaczy. Pan dozorca dopiero teraz zauważył, że nie rysica, lecz on sam jest ranny. Prawy policzek bolał go nieznośnie i z zębami pono coś nie było w porządku. Dwa ruszały się jak klawisze, dziąsło zaś krwawiło obficie. Pewną ulgę sprawił mu pierwszy opatrunek nad potokiem. Zobojętniał na pytania naganki, na pocieszania ich, na uznanie dla siły i donioslości strzału. Na biednego Jurka, fabrykanta owych mocnych naboi, ani nie spojrzał. Nazajutrz nie czuł gniewu i zawziętości, natomiast posłał swemu przyjacielowi do Czech sążnisty list, opisując, jak na trzysta kroków, celnym strzałem na komorę, powalił tygrysa Europy, olbrzymiego rysia, aż się broni i oku dziwił sam leśniczy...

* * *

I znów minął rok, po nim drugi i trzeci. Rysica zwycięsko wychodziła z wszelkich obieży. Jak na urągowisko, zawsze zjawiała się tam, gdzie jej nie czekano, nikt nie widział jej tam, gdzie na nią kto czekał. Wywiodła, odchowała i puściła w świat obiecujące potomstwo. Dziwił się świat łowiecki, skąd zjawiły się rysie w odległych okolicach, gdzie nigdy o nich nie słyszano. Inaczej być nie mogło. Łowisko rysia musi być wielkie — tysiąc hektarów długo go nie wyżywi.

Stara rysica trzymała się stale rodzinnego rewiru. Nie ustąpiła go nikomu, nawet własnym dzieciom. Starzała

---

praca w sejmie dla dobra kraju, a druga, to odpoczynek po tej pracy — polowanie.

Bardzo mi przyjemnie pana posła poznać — mruknął Michał i podał uprzejmie dłoń panu Filipkiewiczowi, uprzejmie, ale bez najmniejszej dozy uniżoności.

Wkrótce już zaczęli zjeżdżać się myśliwi i tak przyjechali: państwo Gorscy, baron Zand, pan Blumenbaum, przyjaciel ojca obecnego dziedzica Rzewuszek, również wychrzczony i ucywilizowany żyd, lecz na tym ostatnim piętno pochodzenia zostawiło swe znamię, oraz wielu, których Michał nie znał z nazwiska.

Pani Sylwia, ledwo zdążyła wysiąść z bryczki, już ze zwykłą wrodzoną zalotnością podbiegła do Michała i zaraz zaczęła szczebiotać.

Jak tam, panie Michale, dziki? — Zagadnął pan Filipkiewicz. Panie czy otropione chociaż?

Dziki w lesie są, ale po czarnej stopie ja tropić dzików nie umiem, inna sprawa po śniegu, wtedy można wprost czytać z iskrzącej się bieli ziemi — odpowiedział Michał.

No, tak ale... — zająknął się pan poseł.

Chwilę jeszcze rozmawiali goście w przedsionku leśniczówki, przysłuchiwali się ostatnim raportom gajowych, które niedość pomyślne wieści zwiastowały,

Padły ostatnie rozkazy i wnet wąska linja leśna zaroiła się od pojazdów.

Kiedy przybyli na polanę, wysypali się myśliwi w przeróżnych strojach i wnet po wylosowaniu stanowisk ruszyli każdy na swoje.

Michałowi przypadło w udziale stanowisko obok Sylwji.

W bronzowym, dobrze leżącym kostjumie sportowym, postać pani Gorskiej wydawała się ponętniejszą, niż była w rzeczywistości. W rękach trzymała lekki sztucerek. Na lewo od Sylwji zajął stanowisko pan poseł Filipkiewicz. W jasnym garniturze, w olbrzymich nickerbockerach, obuty w żółte półbuciki, stanowił pan poseł rażący kontrast postępu cywilizacyjnego z pierwotnością puszczy.

Dwa kroki za nim stał strzelec, trzymając w rękach zapasową strzelbę.

Michał tylko ubrany był skromnie, niewyszukanie, w zielonawego koloru strój, w wysokich butach, zlewał się z kolorytem puszczy.

Kiedy już wszyscy myśliwi zajęli swe stanowiska, podniósł Michał do ust trąbkę, zadął raz, dając tem znak, by naganka ruszyła.

się. Siekacze miała starte, kieł jeden złamany, drugi pożółkły ze starości. Nic za to nie straciła siły i gibkości ruchów; doświadczeniem, obrotnością i odwagą przenosiła o wiele junaka ryśka, który niekiedy zachodził do rewiru zobaczyć się z matką i przekonać się, czy nie czas już objąć jej rewir w dziedziczne posiadanie. Lecz leśny demon dzierżył jeszcze krzepko władzę i rysik wracał z niczem.

Było to pięknego dnia majowego. Słońce paliło silnie, powietrze było ciężkie i duszne. W głębiach leśnych nie drgnął żaden listek, nie poruszył się żaden ptak. Jeno niżej trochę nad Szipotem wiecznie huczącym — było nieco chłodniej. Olbrzymie łopiany rozkładały po brzegach liście obficie spryskiwane pianą rozpylonych o głazy wód potoku.

Wzdłuż Szipotu wije się droga. Tu trzyma się potoku, tam wspina się na zbocze górskie, omijając łąkę, by znów zbiec nad Szipot tak blisko, że każdej wiosny stoi pod wodą. Jechać tędy wozem jest sztuką nielada. Ani śladu kolei. Tu wóz, dziw, że się nie stoczy z pochyłego, płaskiego głazu, tam znów grzęźnie w bagnie, usianem na dnie ostremi odłamami skał, stoczonych mrozami z góry. I gdyby nie parę pół zgniłych, wiecznie dziurawych mostków — nie rzekłbyś, że tędy ludzie uczęszczają. Słońce już było wysoko na niebie, gdy nad potokiem stanęło dwóch leśników. Jeden z nich, to nasz znajomy Hawran, drugim jest nowy nadleśniczy. Idą z trudem pod górę, prowadzeni to silniejszą to słabszą, lecz zawsze dziką, zawsze złowrogą pieśnią rozhukanego Szipotu. Leśny zatrzymał się zajęty wiązaniem trzewika, nadleśniczy szedł naprzód, dopiero na górze poczekał na Hawrana. Wzrokiem ogarnął przeciwległe zbocza, bujnie porosłe liściastym starodrzewem, potem zniżył go na pienistą wstęgę Szipotu. Plamiły ją potężne głazy, obtoczone falą, pokryte zielonemi czapami mchów — inne mniejsze — wodą częściej omywane, leżały nagie.

Uwagę nadleśniczego przykuł do siebie jeden głaz, częściowo tylko widzialny. Porosły był mchem, jak inne, lecz na mchu widniała podłużna rudawa plama. Odległość wynosiła około sześćdziesięciu metrów. Już miał pójść dalej, gdy plama się poruszyła. Wilk chłodzi się na mokrym kamieniu — pomyślał — i nie czekając, strzelił grubym śrutem z ładnej swej dubeltówki. Ruda plama oderwała się od kamienia i przerzuciła się błyskawicznie na drugą stronę potoku. Poprawił z drugiej lufy, nie mierząc. Równocześnie rozległ się strzał leśnego, który bez rozkazu zbiegł na dół i wbród przeszedł potok. Pan nadleśniczy powoli zeszedł za nim i czekał nad brzegiem. Po paru minutach leśny wrócił.

„To był wilk, nieprawda, panie leśny?“

„Nie panie nadleśniczy — to był ryś — a nawet mi się zdaje, że moja stara znajoma. Chybiliśmy ją. Szkoda, że pan strzelał. Śrut gruby dobry na rysia do czterdziestu kroków, a tu było dwa razy tyle. Żem to nie miał ja do niej strzału, kiedy jeszcze leżała!“

Rysica jednak nie była na czysto chybiona. Pierwszy strzał śrutowy ją trochę obsypał, drugi i trzeci kulowy poszły mimo. Zwłaszcza jedno ziarnko było dokuczliwe: zraniło wargę i uszkodziło ząb. Trzy inne ugrzęzły w mięśniach przedniej łapy. Farby nie było znać. Wogóle leśny nie przywiązywał wagi do obu strzałów śrutowych, o swoim zaś wiedział, że był chybiony.

Pierwszy miot przeszedł bez jakiegokolwiek specjalnego wrażenia. Drugie pędzenie urozmaicił tylko strzał Michała do orła, który przelatywał nad jego stanowiskiem. W trzecim rozegrał się epizod mogący się skończyć fatalnie. Ledwo bowiem naganka ruszyła, z trzaskiem i hałasem wypadł z gąszczu naprzeciw stanowiska Sylwji olbrzymi odyniec.

Sylwja szybko wymierzyła i padł strzał, który dzikowi nic jednak nie zrobił. Wymierzyła raz jeszcze i znów strzeliła. Dzik zatoczył się, lecz wnet odzyskawszy siły, ruszył całym impetem na Sylwję, która nie zdążyła powtórnie nabić sztucera.

Napróżno pan Filipkiewicz starał się strzałami odwrócić uwagę dzika od znajdującej się w poważnem niebezpieczeństwie Sylwji.

Już zdawało się, że nic nie uchroni Sylwję przed rozwścieczonym odyńcem, gdy ryzykowny strzał Michała zwalił dzika.

Ledwo Sylwja zdążyła ocknąć z wrażenia, już Michał klęczał obok dzika, którego przed chwilą skłuł i właśnie wycierał kordelas z krwi.

I wówczas zobaczył Lubicz w tych oczach zawsze zalotnych, zawsze flirtujących, trwogę. Bez słowa podała mu Sylwja obie ręce, dziękując spojrzeniem za wybawienie z tak przykrej sytuacji.

Michał sam nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, chwycił podane sobie ręce i wpatrzywszy się w oczy Sylwji rzekł uroczyście:

Pani, niech mi będzie wolno zawsze bronić cię przed grożącem ci niebezpieczeństwem.

Oczy Sylwji zaszły łzami. W milczeniu oparła się na ramieniu Michała i cała drżąc, przytuliła się do niego, a on z głębokim szacunkiem ucałował jej dłonie.

Nim się spostrzegli, byli już otoczeni gronem myśliwych, zbiegłych ze swych stanowisk.

Pytaniom i odpowiedziom nie było końca. Wkrótce też podszedł do pani Sylwji jej mąż, w paru konwencjonalnych słowach podziękowawszy Michałowi za okazany żonie ratunek, zabrał Sylwję z sobą, by zaraz ruszyć do Rzewuszek.

Gdy już zniknęli w oddali, zwrócił się do wzruszonego Michała Różogórski z zapytaniem, czy nic mu się nie stało.

(C. d. n.)



Wieczorem, przy obozowem ognisku, po skromnej zakąsce popitej zimną wodą z kapelusza, owiany dymem papierosa, rozprawiał Hawran o dziejach historycznej rysicy.

„W żelazo nie wlezie — raz już próbowała, trutki nie weźmie, widziała jej działanie, naganka niemożebna przy wielkiej przestrzeni a małej ilości strzelców, otropić ją na śniegu z psem, również za trudno. Śnieg leży tak grubo, że i pies i człowiek nie może się ruszać. A rysica chodzi swoje piętnaście kilometrów w dół do sarnich i jelenich ostoi zimowych — a nigdzie dłużej nad dwa dni się nie zatrzyma. Nawet przy najtęższych śniegach, pewna część zwierzyny zostaje zwykle w górach, pozbawiona naszej opieki i dozoru. Na górskich łączkach, obrosłych po brzegach leszczyną i różnemi krzakami, zimują w śniegu jarząbki, jakie takie pożywienie zatem rysica znaleźć może zawsze...“

Ogień powoli dogasał. Wspólnemi siłami przysposobili na noc drzewa, rozłożyli płaszcze na ziemi i legli z plecakami pod głową. Lecz nadleśniczy nie mógł spać. Po głowie wirowały mu wrażenia dnia i obrazy karpackiej przyrody. Porównywał miniaturowe rewirki czeskie, gdzie każdy porębik ma swój znaczek, każda gałązka niemal swoje zastosowanie. Zwykłą sygnałówkę słychać tam z końca w koniec rewiru. Gospodarzy się tam racjonalnie, podług planu specjalisty, użytkuje absolutnie wszystko! A tu? Specjalista tu na nic, plany zostają tu na papierze, natura dyktuje własne prawa. „Zna pan mniszkę, panie leśny?“ „Znam, alem jej tu jeszcze nie widział“. „A inne robactwo, żyjące na liściach?“ — „I tego tu niema“. To może kornik-drukarz?“ — „Trafia się, ale tylko na sztukach padłych od burz i suchych“. — Szczęśliwy las — pomyślał nadleśny i wspomniał o tych tysiącach hektarów leśnych przestrzeni Czech i Moraw, objedzonych do cna z liści i igliwia.

„Pis-pis-kwor-kwor“ — ozwało się nagle nad nimi i cień sporego ptaka zamajaczył nad głowami leżących.

„Słonka! Skąd się tu wzięła? Czy to marzec, że jeszcze tokuje?“ — Leśny się uśmiechnął. — „Nie panie nadleśniczy, aleśmy zgórą tysiąc metrów nad morzem. Tu pan usłyszy słonkę jeszcze w lipcu!“ — Wstał i dorzucił gruby konar do ognia. Potem owinęli się obaj w płaszcze i usnęli. Hen, w dali ozwało się złowrogie „uhuuu...“ puhacza, ale tego już nie słyszeli. Zmęczenie i balsamiczne powietrze górskie działało lepiej, niż opium.

* * *

Z niekłamaną radością powitał leśny, pierwszy tegoroczny śnieg. Chodziło o zastosowanie mozolnie obmyślanego planu podejścia rysicy. Wysoko w górach upatrzył sobie młodą osikę, wybiegłą, równą, bez sęków. Ściął ją i oddzielił pieniek półtora metra długości. Siekierką wyciosał dwie deski grubości czterech centimetrów. Zawiózł je do domu i póty ciosał, wygładzał, rozparzał i zaginał, aż z pod ręki jego wyszły narty, prymitywne coprawda, ale mocne i praktyczne. Nadewszystko były lekkie. Przyprawienie do buta było tego rodzaju, że proste wyrzucenie nogi w przód oddzielało ją od narty. Były krótkie a szerokie, nie zapewniały więc szybkiego biegu, natomiast obrotność w lesie i łatwe trzymanie się na powierzchni sypkiego śniegu. Lepsze znacznie byłyby wierzbowe, ale w braku wierzby, dobra była i osina.

W grudniu, mając trochę mniej zajęć służbowych, wybrał się Hawran w góry, z grubo wypchanym plecakiem. Przenocował w zeszłorocznym szałasie i zaraz wziął się do tropienia. Zwiedził wszystkie miejsca, gdzie prawdopodobnym był chwilowy postój rysicy. Tropy były, ale parodniowe. Wrócił do szałasu z niczem, poprawił nożykiem w nartach wgłębienie na obcas buta i nazajutrz ruszył znowu. Śladów rysicy i tym razem nie znalazł. — Gdyby nie to, że zwierzyna jeszcze nie opuściła letnich ostoi, gotów był pomyśleć że rysica z rewiru się wyniosła. Lecz wiedział i to, że ryś zazdrośnie pilnuje swego łowiska i opuszcza je tylko ze strachu lub z głodu — a głodu tu nie miał. — Znalazłszy ślad kuny, z nudów puścił się za nią. Prowadziło to po śniegu, to na drzewo, to znów po śniegu, a wciąż wyżej ku szczytom.

Minąwszy szczyty, spuścił się Hawran na stronę południową. Zwarto stała tu osina. Zapałczarnia brała stąd towar użyteczny dla siebie, niepotrzebny zostawał na miejscu. Tu więc leżały całe pnie dziurawe wewnątrz ze starości, tam znów zbyt sękate wierzchoły. Śniegu leży mniej, wiatry północne nie wieją, suchych gałązek osiny i czarnej topoli moc, toteż liczne ślady jeleni i sarn bynajmniej nie dziwią leśnego. Gdzieindziej utkwił wzrok i bada starannie. Na zwalonym pniu wyraźne, świeże, z ostatniej nocy, ogromne odciski łap rysich. Ruszył śladem i ledwie o sto kroków, znalazł ślad nowy. Na śniegu leży przodek sarnięcia. Mała, kształtna główka z pąkami przyszłych rożków, wyraźnie rysuje się na białym obrusie. Zadnie pieczenie, cąber i wnętrzności były zjedzone.

Dziwna rzecz! Na podobny widok powinienby człowiek unieść się żalem, gniewem, lub czemś podobnem — Hawran zaś z zadowoleniem się uśmiechnął. Nie znał jej widocznie dobrze, skoro myślał, że syta, pójdzie spać. Dla demona jednego złoczynu było mało. Trop szedł dalej stokiem, spuścił się nad potok przeciwległy. Hawran szedł po nim uporczywie. Musi dojść do barłogu i albo rysicę dostać na muszkę, albo ją w barłogu zaklinować! Zadanie na pozór proste. Lecz trudności terenu! Tuś spocony do suchej nitki i zadyszany, tam zaś owieje cię mroźny, przejmujący wiatr. Wystygniesz po to, by znów się spocić! Lecz Hawran był człekiem o żelaznem zdrowiu i niespożytych siłach. Trzydziestoletni, krzepki, bardziej chudy, niż szczupły, przywykły do wszelkich zmian temperatury, do mrozu i głodu i ciężkiej służby górskiego leśnika. A jednak i on nie wytrzymał. Noc przeleżał pod ogromnym wykrotem tak znużony, że nie miał odwagi puścić się do szałasu oddalonego stąd o dwanaście kilometrów. Rozniecił ogień, wysuszył przepoconą bieliznę, wysłał wykrot miękkim liściem, wybranym z pod śniegu i legł przy ognisku. Usnąć nie mógł. Z jednej strony piekło go gorąco ognia, drugą wstrząsał mroźny

dreszcz. Po paru godzinach odpoczynku, powlókł narty za sobą i brodził kopnym śniegiem w dół ku dolinom. Z największym wysiłkiem dobił się do drogi, jako tako przetartej saniami Rusina, wiozącego tędy siano przed dwoma dniami. Choć blisko ranka, ćma leżała w lesie tak gęsta, że więcej czuł, niż widział, gdzie stąpa. Na dobitek złego, poruszył się wiatr i śnieg sypać począł drobny, a gęsty. Wicher hulał w koronach drzew, a ostre igiełki śniegowe biły leśnego prosto w oczy. Głodny był. Z szałasu zabrał pożywienia do wieczora , dawno więc zjadł ostatni kawałek chleba, zapomniał jednak o głodzie na tropie rysia. Teraz głód sam mu się przypomniał. A leśny demon wiódł go wciąż dalej i dalej. Jak na urągowisko, zatrzymał się na króciuchny odpoczynek w wypróchniałych pniach drzewnych i po chwili parł naprzód. Leśny szedł z rozpaczliwym uporem, ale z coraz słabszą nadzieją i coraz mniejszą rezerwą sił. Gorączkę pragnienia gasił garściami śniegu. Miłe to dla wyschłego języka i gardła, ale jak przykre dla pustego żołądka? Ostatnim wysiłkiem woli odpędza pokusę spoczynku. Wie, że jeśli siądzie, nie wstanie więcej, nie ujrzy już młodej żony, ani rozkosznie miłego, ukochanego Huberta, nie napnie na deskę centkowanej skóry demona... Więc powlókł się dalej i cudem natrafił na zbawczą drogę, wiodącą do małej górskiej wioski. Doszedł do ogromnego kamienia, leżącego przy drodze — i dalej nie mógł. Usiadł pod nim i usnął. I nie wiadomo, czy na tem nie skończyłoby się krótkie pasmo dni dzielnego Hawrana, gdyby nie poczciwy Rusin, który nocą, korzystając z zadymki i mrozu, wybrał się saniami do lasu, dopełnić zapas zimowy opału. Śpiącego na kość zmarzłego leśnego znalazł pod kamieniem, wracając ze złodziejskiej wyprawy. Dowiózł go do wioski (sprawdziwszy nieprzytomność) oddał ludziom w opiekę i prosząc pokornie o dyskrecję co do jego osoby, ulotnił się. Bóg łaskaw, że gorliwość w służbie przypłacił Hawran jedynie ciężkiem zapaleniem płuc.

* * *

Zatem wszystkie sposoby walki z leśnym demonem okazały się bezcelewe. Rysica zawsze okazywała się silniejszą, chytrzejszą, a może szczęśliwszą. Zdawało się, że niema na świecie siły, niema mocy, coby ją przemogła. I jej wszakże w księdze przeznaczeń, zapisany był kres.

Od paru lat grasował w całym okręgu straszny świerzb wśród lisów. Zaczął się gdzieś u podnóży gór i rozchodził się stopniowo coraz wyżej, aż opanował wszystkie sąsiednie rewiry górskie. Każda nora była źródłem zarazy. Lisy, zwiedziwszy wszystkie nory w czasie ucieczki, pozostawiały lub unosiły z sobą drobniuchne, niewidzialne pasorzyty. Twarda zima, brak pożywienia i bieda, nie były bynajmniej środkami leczniczemi. Jednostki silniejsze doczekały wiosny i słońca a z niem nowych sił, słabsze traciły włos całemi pękami, zaziębiały obnażony naskórek i ginęły. Biada psu, któryby chwycił parszywą liszkę, biada człowiekowi, któryby ją wziął do ręki! — Po paru dniach świerzb rozszedłby się po całem ciele, swędzący, piekący nieznośnie, odporny na wszystkie leki z wyjątkiem jedynie rtęciowej maści. — Stan liczebny lisów zmniejszył się o połowę, reszta znów w połowie była zarażona. Co chwila padała w ogniu sztuka na pół goła ze strupem na całem ciele. Nie brano jej do ręki, lecz na miejscu zakopywano.

Rysica nie miała w zimie wielkiego wyboru. Bywała rada, złowiwszy mysz, lub wiewiórkę. Jeleń i sarna stały w cieplejszych równinach, zając jest wogóle rzadkością w górach. Trzy noce nie miała nic na zębie prócz myszy. Cóż więc dziwnego, że rozdarła chudego, nagiego lisa, ledwie wlokącego za sobą wyleniałą kitę? Uczta nie była pierwszej klasy, lecz głód bywa dobrym kucharzem...

* * *

Było to jakoś pod wiosnę. Gajowy Miszko szedł z psem skontrolować węglarzy. Od smolarni puścił się przez szczyty ku dolinie Szipotu. Młody psiak jego pognał za jarząbkiem i nie słuchając nawoływań, zginął gdzieś w gąszczach. „Dostaniesz swoje, aż wrócisz“ — pomyślał gajowy i szedł dalej. Pies zaczął naszczekiwać. Gajowy z początku nie zwrócił na to uwagi; jarząbek na gałęzi, albo jeż — pomyślał sobie. — Szczekanie było natarczywe, z samej ciekawości więc, udał się gajowy na głos psa. Wkrótce był na miejscu, rozgarnął gałęzie i stanął osłupiały z podziwu. — Półroczne szczenię atakowało ogromną, chudą, jak szkielet, półmartwą rysicę. Jeno w oczach leżącej tliły się resztki życia. Zdjął z ramienia Manlicherek, rysica ani drgnęła. Podszedł na pięć kroków, zwierz się nie poruszył. Dopiero teraz spostrzegł, że cała głowa rysicy była bez sierści, pokryta drobną wysypką. Uszy gołe, ani śladu pięknych pędzelków. Na grzbiecie i piersiach jeden strup. Z krótkiego prążkowanego ogona, pozostał nagi badyl. Podszedł od tyłu, podniósł ciężki kij i uderzył ją silnie w nos. Ciałem rysicy przeszedł kurczowy wstrząs, łapy się wyprężyły, wysuwając sierpowate pazury. Drugie, silniejsze uderzenie z litości, spadło na czaszkę i leśny demon, krwawy kat puszczy, zwycięzca inteligencji i rozumu najchytrzejszego tworu — człowieka — skonał.

Czego nie dokazał człowiek za pomocą najnowszej broni, trucizny, żelaza, naganki i psa, to sprawił mikroskopijny pasorzyt, tocząc w ciągu paru miesięcy, pięknem, siłą i grozą kipiące ciało królewskiego drapieżcy.

Już z krainy wiecznych łowów wywarł leśny demon pomstę nad ziemskim prześladowcą. W tydzień po śmierci, prostym wózkiem jechali leśny z gajowym do lekarza, obaj dotknięci świerzbem. Pomimo wszelkiej ostrożności, zarazili się przy zdejmowaniu skóry. A jeszcze gorzej było z Lumpem, pieskiem gajowego. Dla bezpieczeństwa domu i otoczenia — był zastrzelony.

A w puszczy nad Szipotem, berło władzy i mordu, wypuszczone przez rysicę, ujął krzepko i młodzieńczo jej czteroletni syn i prawny następca.



STANISŁAW KORWIN MILEWSKI

O tak zwanym strzale w „pustkę"

W ciekawych epizodach myśliwskich, przeżywanych w ciągu lat przez p. Stanisława Barabasza, a obecnie w „Łowcu" opisanych p. t.: „Z przeżyć myśliwskich" (patrz „Łowiec" Nr. 21 z 1 listopada 1929), znajduje się także taki zwrot:

„Rogacz padł z dymem i zaczął się sunąć, leżąc na grzbiecie nadół. Stałem dość daleko — szedłem tedy do p. S., aby mu pogratulować strzału — nie patrząc na rogacza. Po chwili widzę, że rogacz stoi, wygiął grzbiet w kabłąk — wołał na p. S., by strzelał. Rogacz tymczasem zaczął iść powoli, potem coraz prędzej i zanim myśliwy nabił i strzelił, rogacz był już w gąszczu i przepadł. Rogacza tego widziałem później, chodzącego lecz marnie wyglądającego. Był to prawdopodobnie strzał „w pustkę".

Uważam, że ze względu na młodsze pokolenie naszych myśliwych, czytających „Łowca" nie zaszkodzi stwierdzić, że strzał „w pustkę" ani przy strzałach do rogacza ani wogóle przy strzałach do jakiejkolwiek naszej zwierzyny nie istnieje.

Za dawnych lat dysputowano dużo nad tą sprawą — wreszcie przepiłowano przy zupełnem zamrożeniu komorę rogacza w pionowym i poziomym kierunku, bez naruszenia naturalnego położenia wszystkich wewnętrznych części komory i stwierdzono niezbicie, że w klatce piersiowej niema absolutnie żadnego miejsca pustego — że więc każdy pocisk, przebijający komorę, choćby bezpośrednio pod kręgosłupem, stanowczo zranić musi i płuca, a zatem, że o strzale „w pustkę" nie może być mowy.

Jeżeli kiedy rana po strzale, godzącym wysoko w komorę, zagoi się — to nie z tego powodu, że kula nie naruszyła szlachetnych części, ale dla tego, że rana była lekką a więc zadana kulą mało albo wcale się nie deformującą.

W praktyce unikać przeto należy zbyt wysokich strzałów.

Sądzę, że w wypadku opisywanym przez p. Barabasza, rogacz musiał dostać prawdopodobnie bardzo wysoką kulę nad kręgosłupem, która albo naruszyła nieznacznie którąś z górnych małych kostek kręgosłupa względnie karku (według terminologji Diezla „Federschuss" wzgl. „Krellschuss" — Diezels Niederjagd, wydanie 10-te, str. 190 i 193), albo spowodowała jedynie obcierkę na grzbiecie „Streifschuss" (patrz Diezels Niederjagd, wydanie 10-te, str. 191 i 193), skutkiem czego rogacz uległ chwilowemu porażeniu i został na pewien czas ubezwładniony.

W żadnym jednakże wypadku nie mógł to być strzał „w pustkę", bo takie miejsce wogóle nie istnieje.

Wyrażone powyżej zapatrywanie w zupełności z Autorem podzielamy. *Red.*

Korespondencje

Stanisławów w grudniu 1929

Jeszcze o myszołowach

Korespondencje w „Łowcu" dotyczące monografji naszych zwierząt i ptaków nie powinny wytwarzać polemiki i przybierać formy osobistych wycieczek i złośliwie nieraz nawet argumentowanych przekonywań, — lecz winny służyć do ścisłego określenia typu danego stworzenia, być nabytkiem wiedzy dla młodszych myśliwych, a temsamem traktowane poważniej i oparte na niezbitych i realnych przykładach, przytaczanych na podstawie osobistych, wiarygodnych spostrzeżeń.

Projekt założenia komisji oceniającej naukową wartość poszczególnych korespondencyj, będzie zdaje się jedynym punktem wyjścia z błędnego koła, w jakiem obracamy się dotychczas, polemizując np. na temat myszołowa.

Oryginalny ten ptak, zasługuje bezwzględnie na głębsze zastanowienie, zanim wyda się sąd stanowczy o sposobach, jakiemi posługuje się przy zdobywaniu codziennego pożywienia. — Streszczę tu spostrzeżenia moje, które rozpocząłem już jako 18 letni student, stawiający pierwsze kroki na polu łowiectwa.

Zaciekawiło mię przy pierwszem zauważeniu myszołowa siadającego dzień w dzień na wierzchołku topoli w ogrodzie i jakby automatycznie zlatującego na porozrzucaną słomę po zabraniu ziemniaków z kopców zimowych, jego, jak sobie podówczas wyobrażałem, lenistwo, i nasunęło się mimowoli pytanie, czem ten ptak żyje. Już wówczas domyśliwałem się, że nie musi to być szkodnik, skoro nie zwraca zupełnie uwagi na masy drobiu rozprószone po folwarku i spokojnie skubiące trawę na szkarpach bezśnieżnych.

Obserwując następnie myszołowa przez prawie 30 lat i poświęcając tym obserwacjom nie godziny, ale dnie całe, doszedłem do niezbitego i wyrobionego zdania co do jego trybu i sposobu życia.

Myszołów pospolity (Buteo Buteo vulgaris) lęgnący się u nas, więcej zwinny i obrotny, porywa nietylko myszy-norniki, ale wprost zapamiętale poluje w pewnych okresach na żaby i płazy, co widziałem podczas polowania na kaczki, obserwując równocześnie młode myszołowy — karmione przez matkę, która znosiła żaby, jaszczurki i myszy i każdym razem obdzielała inne ze swych dzieci, drzemiących na olchach nadbrzeżnych.

Tesame myszołowy widywałem w pobliżu miejsca lęgu, w zimie, polujące już samoistnie na myszy, wysiadujące całemi dniami na polach koniczynowych i zajęte łowami tak zapamiętale, że dały się podjeżdżać i rozpoznać po złamanej nodze, którą jeden z nich stracił, przez niewłaściwy strzał strażnika.

Na temsamem polu przebywało przez całą zimę i nocowało pod stertą koniczyny stadko kuropatw złożone z 11 sztuk, a żaden z myszołowów, przesiadujących ustawicznie na tej stercie, nie pokusił się o kuropatwę wi-

doczną każdego dnia na śniegu jak na dłoni, tak, że w tej samej liczbie doczekały wiosny.

Tyle o myszołowie pospolitym.

Jakkolwiek z tej samej rodziny, jednak znacznie odmienny, indywidualny typ, przedstawia myszołów włochaty (Archibuteo lagopus). Bardziej ociężały, nawet leniwy, daje się zauważyć u nas w mniejszej ilości, zalatując tylko w zimie, a z powodu ociężałości i niechętnej zmiany miejsca żeru, które sobie obiera natychmiast po zbadaniu terenu, — łatwiejszy do bliższego poznania się z nim.

Tego ptaka spłoszyłem niejednokrotnie ze skiby lub z miedzy, przejeżdżając polami na przełaj, i parę razy badając miejsce z którego myszołów zerwał, znachodziłem poszarpanego nornika. Tu przekonałem się, że spłoszony, resztek żeru nie porywa w szpony, lecz pozostawia na ziemi.

Zbadałem też, że myszołów włochaty, po nieudałem uderzeniu na zdobycz, np. gdy mysz lub nornik ukryje się pod kupką nawozu, lub badyla ziemniaczanego, nigdy ataku nie powtarza i zdobyczy upatrzonej nie prześladuje — lecz co najwyżej posiedzi chwilę obok miejsca, w którem stracił zdobycz i odlatuje na poszukiwanie nowej. Dzieje się to wszystko z zupełnym spokojem, bez objawów zapamiętałości, charakterystycznej u wszystkich drapieżników.

Polując przed laty „na upatrzonego", zauważyłem na krzaku tarniny, na miedzy, siedzącego myszołowa, a chcąc się przekonać, czy blisko da się podejść, skierowałem kroki ku niemu. Gdy myszołów zerwał do lotu, równocześnie porwał z kopna zając, spłoszony widocznie nagłym ruchem skrzydeł myszołowa. Kopno było oddalone o dziesięć kroków od krzaka.

Nastawiając kosz z gołębiem rano przed świtem, w grudniu i styczniu, w czasie najsroższej zimy, wychodziłem za parę godzin patrzeć, czy nie schwytał się gołębiarz. Zamiast zdobyczy na koszu, widziałem prawie każdego rana myszołowa włochatego o jakie 50 metrów od łapki, drzemiącego swoim zwyczajem na wierzchołku buka.

Widziałem też myszołowa w zimie, w styczniu roku 1929, żerującego na padłym koniu, którego nie uprzątnięto, a którego rozdziobały już wrony prawie do połowy — taksamo widziałem ubiegłej zimy przy 25 stopniowym mrozie myszołowa włochatego wśród wron i kruków na grzebowisku bydlęcem. Podglądając, zauważyłem, jak zżarł ochłap ścierwa, pozostawionego przez wronę — bijącą się z inną.

Ten obraz charakterystycznych momentów z życia myszołowa świadczy przedewszystkiem o zupełnym braku u niego zapamiętałości właściwej wszystkim drapieżcom — ptakom, a w szczególności gołębiarzowi i krogulcowi, (sokoły bowiem mają też pewien gest w tym kierunku i ambicję), charakteryzuje go jako ptaka ciężkiego, leniwego, ograniczającego się do zdobyczy łatwo osiągalnych, zdającego sobie sprawę ze swej ociężałości i bezskuteczności ścigania utraconego raz łupu.

Opisane w „Łowcu" wypadki atakowania kuropatw przez myszołowa, owszem, były możliwe — ale w czasie ubiegłej lub podobnie srogiej zimy, kiedy myszołów znalazł przedtem niejedną kuropatwę zamarzniętą i sam ginąc z głodu w ostateczności pokusił się o nią. Ustrój ciężki tego ptaka nie pozwala przecież na forsowny i szybki lot, jakiego wymagałoby schwytanie kuropatwy, o wiele szybciej poruszającej się w powietrzu, o ile jest zdrowa.

Że wyłącznem, przez naturę przeznaczonem pożywieniem myszołowa są norniki i myszy, świadczy o tem niezbicie nalot myszołowów w zimie, tylko w te okolice, które klęską tych gryzoni są nawiedzone — a zauważone odstąpienia od tego normalnego i właściwego sposobu zdobywania żeru są raczej wynikiem wyjątkowych, katastrofalnych, sporadycznych ciężkich warunków i nie mogą być brane jako reguła, wcielająca myszołowy w szeregi szkodliwych drapieżców.

Poluję wiele i w zimie zwłaszcza przebywam po większej części w polu, nie widziałem jednak nigdy, mimo specjalnie zwracanej uwagi na myszołowy, aby one kiedykolwiek zajęte były atakowaniem kuropatw, zajęcy, cietrzewi lub bażantów, lecz przeciwnie, spotykałem i spotykam je zawsze, oddane pilnie łowieniu myszy, swoim zwykłym flegmatycznym sposobem.

Kazimierz Piórkowski
delegat M. T. Ł. Stanisławów

Sredniawieś w styczniu 1930

Królewskie Łowy

Dzień 4 stycznia zgromadził w Załużu 10 strzelb. — Zjechaliśmy się z bliska i z daleka, gdyż popularność i gościnność gospodarzy, jak i sława kniei, każdego przyciąga. Raporty w przeddzień przez gospodarza otrzymane, podawały ilość dzików na sztuk 42.

Sobota, dzień polowania — dał nam św. Hubert 4-stopniowy mróz przy białej stopie na Słonnem, z małym chwilami wiatrem.

Pierwszy miot pokazał nam 7 dzików, w tem dwa grube. Strzelało dwóch panów, dwa postrzelane dziki poszły za granicę, nie podniesiono żadnego.

Drugi miot. Trzy dziki wyszły przed zajęciem miotu na flankę nie strzelane.

W trzecim miocie 7 dzików wraca na nagonkę, jednego strzelano na flance. Poszedł z farbą.

Czwarty miot, dzik jeden na nagonkę wraca, linja widzi jelenia 8-ka z łanią i cielęciem, pada kilka zajęcy.

W piątym miocie na linję wychdzi 15 warchlaków, strzela dwóch panów, jedna ładna dubleta z Mausera, jeden dzik postrzelony przez drugiego myśliwego dostaje śmiertelną kulę w następnym miocie.

Szósty miot. Linja 7 panów, w połowie miotu, na przesmykach powrotnych 3 panów. 2 partje dzików strzelanych, w jednej 5 warchlaków i wycinek, w drugiej 15 warchlaków. Pada wycinek i postrzelony w poprzednim

miocie warchlak na linji. Jeden warchlak znajduje śmierć na przesmyku powrotnym.

W siódmym miocie branym o zmroku już, strzelano na linji do dwóch partji warchlaków, 3 i 7 sztuk, padły dwa.

Rezultat 7 dzików, 1 lis, 8 zajęcy. — Cztery dziki poszły postrzelane, których nie podniesiono. Na 10 myśliwych tylko dwóch nie strzelało do dzików, a strzałów padło do dzików 32. Strzelano więc gorzej znacznie, niż taka knieja na to zasługuje. Jedynie p. Jarochowski z ładną dubletą do dzików i 10-letni syn gospodarza Adaś Wiktor, który trzema strzałami położył lisa i 2 zające, okazali się godnymi tych łowów.

Z prawdziwą radością podkreślić muszę wysoką sprawność kochanego Pawła w prowadzeniu polowania, rutynę nadzwyczajną nagonki w Załużu, i dokładną ewidencję dzików prowadzoną przez straż łowiecką. Pomylili się wprawdzie w raportach, ale jakże miłą była ich pomyłka. Dzików widzieliśmy bowiem na linji 57, zamiast obiecanych 42. Jedyny zarzut zrobiłbym Gospodarzowi, że poukrywał przed nami grube sztuki. Tłumaczy Go jedynie zamiłowanie hodowcy, chcącego ocalić reproduktorów i zbytnia a nieusprawiedliwiona ufność w celność strzałów gości.

delegat M. T. Ł. pow. Liskiego
W. P. Sołowij

Gródek Jagiell. 10 grudnia 1929

Muszę podzielić się z Szanownymi Czytelnikami, którzy mieli kiedykolwiek sposobność polować na stawie Czerlańskim w tut. powiecie, gdzie roiło się niegdyś od ptactwa wodnego a w przelocie wiosennym i jesiennym można było ubić nieraz rzadki okaz ptactwa polarnego, smutną i żałobną wieścią, iż Zarząd dóbr Dra Henryka Kolischera, którego staw jest własnością, postanowił spuścić go i zamienić na łąki.

Ubywa zatem dla myśliwych bezpowrotnie teren, na którym tyle miłych wrażeń i rozkoszy myśliwskich przeżyli, a obecnie i na przyszłość tylko wspomnieniami tych chwil zadowolić się będą musieli.

Dr. H. Malsburg
delegat

5 stycznia 1930

Dnia 30 grudnia 1929 r., odbyło się na obszarze dóbr Okołowice i Jarzębina (woj. Łódź, pow. Radomsk), jednodniowe doroczne polowanie na zające, prawie wyłącznie w polach. W 8 strzelb (przy 100 nagonki) strzeliliśmy 211 zajęcy, przeważnie w kotłach. W najwydatniejszym kotle padło 65 zajęcy. Król polowania, p. St. Kotkowski, strzelił wogóle 45 sztuk. — Organizacja i kierownictwo sprężyste i wzorowe, spoczywały w rękach p. inż. roln. Ludwika Sędzimira, który mimo, iż sam jest zapalonym myśliwym, wolał z konia polowanie prowadzić, aniżeli strzelać. Troskliwej i umiejętnej opiece nad zwierzyną ze strony p. L. Sędzimira należy również zawdzięczać, że mimo wyjątkowej ciężkiej ubiegłej zimy stan liczebny zwierzyny nietylko nie ucierpiał, ale przeciwnie poprawił się. Szczegół ten ma wprost wartość pedagogiczną w obecnym roku. Kuropatw widziano dużo, w licznych stadach. To też rozbawiona brać myśliwska nie szczędziła wyrazów uznania i wdzięczności dla p. inż. L. Sędzimira, zapalonego hodowcy, — a rozjeżdżając się z dworku w Jarzębinie, miała uczucie żalu, dlaczego to co zachwyca i porywa, trwa niestety krótko i nie powtarza się często.

Dr. Bruno Woyciechowski

Rezultat trzech polowań w pow. Kamionka strumiłowa:

24 grudnia 1929, majętność Sielec Bieńków, rewir Ruda sielecka, 7 strzelb, mróz, wiatr, 15 zajęcy.

28 grudnia 1929, majętność Sielec Bieńków, rewir Brataw, 7 strzelb, mały mróz, cicho, 51 zajęcy 1 lis.

31 grudnia 1929, majętność Spas, 7 strzelb, dzień cudowny, 33 zajęcy 1 lis.

Na wszystkich tych polowaniach nie przepolowano całego terenu. — Do kozłów nie strzelano.

Tyśmienieczany, Styczeń 1930

W rewirze Krzepin, województwa kieleckiego, widział leśny Grzela młodego jelenia skaczącego na łanię, która ten objaw miłości z całem uznaniem przyjęła, a to w dniu 30-ego grudnia 1929.*)

Spędzając w tychże stronach około dwóch tygodni, zauważyłem dość ciekawy objaw. Pomimo, że bardzo znaczne szkody w drzewach owocowych, szpalerach parkowych, ba nawet wystawionych na wiatry połaciach lasu, wyrządziła zeszłoroczna zima, stan kuropatw, zajęcy i królików, w tej części Polski jest tak dalece zadowalniający, że na dwudniowych polowaniach, rozkłady nierzadko dochodziły do 700—800 sztuk.

Przy tej sposobności nadmienić mogę, że mimo ogromnych śniegów, które pokryły w jesieni r. 1928 niezamarzniętą glebę, przy regularnej karmie zadawanej zwierzynie, stan jej w moim powiecie stanisławowskim (normalnie dość słaby) po ostatniej srogiej zimie przedstawia się beznadzijnie. Z jedynastu stad kuropatw, roku 1928, miałem w tym roku z pięć stadek i kilka odbitych sztuk pojedyńczych. Stan zajęcy marny, ale nie beznadziejny, chociaż jeszcze we wrześniu widywałem małe zajączki, kilkutygodniowe.

Słonki w jesieni niestety zupełnie ominęły nasze strony, badany przelot dokładnie nie dozwolił mi nietylko spotkania z tym naszym uroczym długodzióbem, ale nawet przeglądane dokładnie błotka, pokłady liści i łajna, nie zdradziły obfitszego przelotu tego ptactwa.

W. G. S.

---

*) Jestto powtórne rykowisko, które odbywa się w listopadzie i grudniu, t. zw. po niemiecku Nachbrunft. Objaw bardzo częsty w rewirach, w których jest za wiele łań, wskutek czego wiele z nich zostaje nie pokrytych we właściwej porze. Powoduje on szybko zupełną degenerację gatunku. *Red.*

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 7 stycznia 1930.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, Dr. Fr. Piechowski, Dr. J. Rosienkiewicz i Dr. W. Ziembicki i zastępcy: M. Chrzanowski, St. Madeyski i Fr. Meraviglia.

Nieobecność usprawidliwili: St. Jaśkiewicz i E. Münter.

Nad wiadomością, że zaszły już wypadki uwzględnienia zbyt pochopnych propozycyj nadania odznaczeń przeznaczonych dla strażników łowieckich, rozwinęła się żywa dyskusja, której wynikiem był wybór Komisji, mającej się zająć ułożeniem regulaminu nadań, względnie nawet zaostrzenia warunków już uchwalonych statutu i przetrutynowaniem wszystkich propozycyj już nadeszłych, a jeszcze ostatecznie niezałatwionych.

Komisja ta będzie też w przyszłości wszystkie nadchodzące propozycje nadania odznaczenia, najskropulatniej badać i dopiero po zebraniu kompletnego materjału, będzie odnośne sprawy przedstawiać Wydziałowi do uchwał.

Przyjęto do wiadomości, że M. T. Ł. Oddział w Krakowie, zamianował w dalszym ciągu delegatami Towarzystwa, Dr. Stanisława Langera w Zbyszycach na powiat nowosądecki, inż. Józefa Pindelskiego w Wadowicach na powiat wadowicki i Karola Szerauca w Krynicy na powiat nowosądecki i postanowiono wyjednać, by osobistości te zamianowane zostały także delegatami Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

W poczet czołnków przyjęci zostali:

Tadeusz Ajdukiewicz we Lwowie, Przemyski Klub Łowiecki w Przemyślu i Inocenty Paleniczek w Wasylkowcach w powiecie kopyczyńskim.

Wynikiem dyskusji wszczętej nad pismem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w sprawie udziału polskich sfer myśliwskich w wystawie futer i łowieckiej w Lipsku, w r. b., było zamianowanie wiceprezesa A. Mniszka komisarzem Wydziału dla tej sprawy. Wydział uprosił wiceprezesa A. Mniszka, by najrychlej porozumiał się w tej sprawie ze znanymi posiadaczami nalepszych trofeów i by rezultat tych swych wywodów zakomunikował Pol. Zw. St. Łow.

Uchwalono ogłosić drukiem w „Łowcu" pismo delegata Hieronima Tarnowskiego do Starostwa w Nisku, w sprawie trucia lisów przez kłusowników i przychylne załatwienie odnośnych wniosków tego delegata przez wymienione Starostwo.

Wysłuchano sprawozdanie wiceprezesa A. Sandera i St. Madeyskiego z ich udziału, w posiedzeniach powołanego przez p. Wojewodę lwowskiego, Komitetu dla zorganizowania Związku propagandy turystycznej.

Przyjęto do wiadomości sprawozdanie Dr. W. Ziembickiego o wydaniu monografji ś. p. Kazimierza hr. Wodzickiego p. t. „Słonka" i odczytano nadesłane przez synów autora podziękowania za wydanie przez M. T. Ł. tej niedrukowanej dotąd w osobnej odbitce pracy znakomitego badacza przyrody.

W dalszym ciągu na ołtarz św. Huberta złożyli. **Jan Stypa** zł 2·—.

LUTY

Na Gromniczną niedźwiedź już ze snu się budzi;
Gdy mróz — budę wali, gdy odwilż — tkwi w budzie,
Wilki CIECZKĘ kończą, a GRZEJE się liszka,
Ryś i żbik się MARCZĄ jak swojskie kociska,
Więc strzałami sztućców wciąż jeszcze grzmi las,
Lecz wnet dźwięknie halali. A wtedy niech wczas
Łowiec odda swą wszelką do DMYTRACHA broń,
By ją — jak Woronów odmłodził... Jego dłoń
Lufy odołowi, wizier zreguluje,
Dokładnie ostrzela, odświeży — zmontuje,

Tak chce przykazanie Łowcy przezornego;
Dbać o broń swą, jakby o siebie samego.
Lwów, Legjonów 3.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32